

Szanowni Goście, Drodzy Zebrani,

W sztuce suche fakty i liczby mają dziwnie mało do powiedzenia. Nie pamiętamy, ile kilometrów ktoś przebył ani ilu widzów przyszło na wystawę. Wyobraźnię porusza co innego: możliwość. Miejsce, do którego jeszcze można pojechać. Zdarzenie, które mogło potoczyć się inaczej.

Miałem opowiedzieć o tym, co zobaczyłem w tym roku. Ale urlop skończył się wcześniej, niż planowałem, więc opowiem o tym, czego nie zobaczyłem. Myślę, że to ciekawsza historia. Odwrócona perspektywa: nie to, co zdobyliśmy, lecz to, co nam umknęło.

Miarą podróży nie jest dystans. Miejsca, których nie odwiedziliśmy, potrafią poruszać bardziej niż te, które poznaliśmy.

Wiedział o tym Proust. Dziś nazwalibyśmy go mistrzem dystansu społecznego: w ostatnich latach życia pisał, niemal nie wychodząc z pokoju wyłożonego korkiem. A jednak jego powieść „W poszukiwaniu straconego czasu” pełna jest miast, ogrodów i dalekich krajobrazów. Jego młody bohater marzy o Parmie, w której jeszcze nie był. Zna ją z „Pustelni parmeńskiej” Stendhala i z samego brzmienia nazwy, która jawi mu się jako jednolita, gładka, w delikatnym kolorze lila. Takiej Parmy nie ma na żadnej mapie. Narrator przyznaje zresztą, że nazwy czyniły miasta piękniejszymi, ale zarazem zupełnie innymi niż w rzeczywistości. Czytamy o tej Parmie ponad sto lat później i wciąż czujemy jej klimat.

A teraz drugi obraz. W maju 1922 roku, w paryskim hotelu Majestic, na przyjęciu wydanym dla Strawińskiego i Diagilewa, spotkali się James Joyce i Marcel Proust. Dwaj najwięksi pisarze epoki, w jednej sali, twarzą w twarz. Spotkanie rzeczywiście się odbyło, ale relacje o nim są sprzeczne. Według jednych rozmawiali o truflach. Według innych – o swoich dolegliwościach. Sam Joyce twierdził, że rozmowa sprowadzała się do jednego słowa: „nie”. Czy Joyce zna pewnego księcia? Nie. Czy Proust czytał „Ulissesa”? Też nie. Proust, który zmarł kilka miesięcy później, nie zostawił o tym spotkaniu ani zdania.

Mamy więc spotkanie, które się odbyło, a nie zostało z niego nic. Na drugim biegunie jest Parma, o której bohater tylko marzył, a zostało z niej wszystko. W sztuce rzeczywiste podróże, wielkie spotkania i dopięte plany nie przekładają się automatycznie na dzieło. Henri Rousseau namalował dziesiątki dżungli, choć nigdy nie wyjechał z Francji. Dzieło rodzi się gdzie indziej: tam, gdzie ktoś umie z braku, z tęsknoty albo z wyobrażenia ulepić coś, czego wcześniej nie było. Pokój Prousta wyłożony korkiem można nazwać dziwactwem. Ja widzę w nim skrajną formę uwagi: podróż, którą mierzy się nie kilometrami, lecz głębokością.

Podobnie działa pamięć. Z Biennale w Wenecji nie pamiętam tłoku w Giardini ani rozmachu pawilonów. Pamiętam małego, drewnianego ptaka. Pamiętam ściany pawilonu hiszpańskiego wytapetowane pocztówkami, ułożonymi w rytmie barw. Każda z nich osobno jest niczym: pustym, przesłodzonym artefaktem przeszłości. Razem zaczynają pulsować.

Sztuka to zmiana perspektywy. Wyobraźmy sobie, jak nudny byłby świat, w którym wszyscy patrzą z jednego miejsca. Jedna perspektywa daje odpowiedź. Dwie dają rozmowę.

Balzac opisał kiedyś malarza, który przez dziesięć lat pracował nad jednym obrazem, wciąż go poprawiając i nikomu nie pokazując. Nazywał się Frenhofer i nigdy nie istniał. Cézanne, który całe życie wracał do tych samych jabłek i tej samej góry, miał podobno wyznać ze łzami w oczach: „Frenhofer to ja”.

Picasso zilustrował to opowiadanie w wydaniu z 1931 roku, a kilka lat później wynajął pracownię przy tej samej ulicy, przy której Balzac umieścił atelier jednego ze swoich malarzy. Tam namalował „Guernikę”. On także czuł się Frenhoferem. Odpowiedział jednak inaczej: nie zostawał przy jednym obrazie, lecz przechodził z okresu w okres i zmieniał styl tak, jak inni zmieniają miejsce w sali.

Paradoksalnie zmiana może znaczyć dla każdego coś zupełnie innego: u Cézanne’a była powolną ewolucją w obrębie tego samego jabłka, u Picassa – obsesyjnym powrotem do tych samych tematów, za każdym razem w innej odstonie.

Nie rozstrzygam, kto miał rację. Dla sztuki ważne było, że istnieli obaj.

Akademia zawsze była miejscem nie tyle podobieństw, ile różnic. Największą wartością tego grona nie jest zgoda, lecz niejednorodność. Są wśród nas tacy, którzy miesiącami malują jeden obraz, i tacy, którzy w miesiąc malują ich dziesiątki.

Drogie Studentki, Drodzy Studenci,

Wasza droga przez tę uczelnię też będzie się miejscami urywać. Plany się zmieniają, coś się nie uda, czasem wróćcie do punktu wyjścia szybciej, niż zrozumiecie dlaczego. Nie traktujcie tego jako porażki.

Nie mierzcie tych lat dystansem: liczbą wystaw, nagród, rezydencji, ważnych znajomości. Można przejechać pół świata i wrócić z niczym. Można też nie ruszyć się z pracowni i przywieźć z niej cały kontynent. Jeden mały gest, którego nikt nie zauważy w tłumie, może zostać w czyjejś pamięci na dziesięciolecia. Nie wiecie, który. Dlatego każdy wykonujcie z uwagą.

Życzę Wam więc roku, w którym żadna przerwana droga nie będzie stratą. Niech stanie się opowieścią.